Poczta opłacona zgóry

Cena 25 gr.

GŁOS EWANGELICKI

PISMO TYGODNIOWE, POŚWIĘCONE SPRAWOM KOŚCIOŁA EWANGELICKO-AUGSBURSKIEGO W POLSCE.

Organ szerszych warstw ewangelików polskich, przy udziale ks. ks. profesorów: *Ed. Burschego, J. Szerudy, K. Seriniego, A. Suessa, K. Michejdy, ks. prefekta Gloeha* — z Warszawy, *ks. G. Manitiusa* z Poznania, oraz członka Warszawskiego Kolegjum Kościelnego: *p. mec. H. Eberhardta, prof. gimnazjum im. M. Reja, O. Bartla, prof. gim. zgierskiego, A. Wajgelta.* Pod naczelną redakcją I pastora Zboru Warszawskiego, *ks. radcy A. Lotha.*

Cena prenumeraty wraz z przesyłką pocztową: 3 zł. kwartalnie

Pojedyńczy numer 25 groszy.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI
WARSZAWA ulica Kredytowa Nr. 4.
Prócz administracji prenumeratę przyjmuje:
w Warszawie, księgarnia W. MIETKE, Wspólna 10
w Łodzi, księgarnia RENNERA, Piotrkowska 65
i w Cieszynie, p. A. CYMOREK, Prutka 27.

Wychodzi raz na tydzień w niedzielę

Ogłoszenia: Kolumna zawiera 4 szpalty ogłoszeń. Za wiersz nonparelowy po tekście 20 groszy w tekście 40 groszy.

Konto czekowe w Pocztowej Kasie Oszczędności Nr. 1508.

Rok IX. WARSZAWA, dnia 23 września 1928 roku Nr. 39

Tajemniczo, lecz wszechpotężnie.

Nie dziw się, żem ci powiedział: musicie się na nowo narodzić. Wiatr, gdzie chce, wieje, i szum jego słyszysz, ale nie wiesz, skąd przychodzi i dokąd idzie; tak jest każdy, który się narodził z Ducha.

Jan 3, 7. 8.

Przez „Ducha", tak zaznaczył Jezus, odbywa się tajemniczy cud wewnętrznego odrodzenia i odnowienia człowieka. Lecz czyż sam Duch nie jest dla nas tajemnicą. Nie wynaleziono jeszcze termometru, którymby go można zmierzyć, przez żaden mikroskop nie można go zobaczyć, żadnym procesem chemicznym nie da się rozłożyć na składowe części. Lecz kto nie stał się jeszcze tak surowym, aby zaprzeczać z tego powodu istnieniu Ducha, ten jednak przyznać musi, że to słowo jest dla niego zagadką i tajemnicą. Dlatego też Jezus przez podobieństwo chce Nikodemowi dopomóc do zrozumienia. Bardzo być może, że właśnie mocny wiatr uderzył o okna małego domku i Jezus, zwracając uwagę Nikodema na to zjawisko, rzekł: Oto wiatr, słyszysz go. Wieje, gdzie chce, i t. d. Czy wówczas temu mistrzowi w Izraelu nie przypomniał się ów cichy, łagodny głos, w którym Bóg objawił się prorokowi Eljaszowi? Podobieństwo to wypowiedziane w języku hebrajskim lub greckim było jeszcze wyraźniejsze, gdyż w tych językach pojęcia „duch" i „wiatr" wyrażone są jednem i tem samem słowem.

Przedewszystkiem Jezus zwraca uwagę na tajemniczość wiatru. Wprawdzie nauka wyjaśnia, że przyczyną powstawania wiatrów są ciepło, elektryczność i obrót ziemi, a jednak droga, bieg i cel wiatru pozostaje mimo tych wyjaśnień tajemnicą. I nikt nie będzie przeczył, że wiatr istnieje, gdyż skutki jego są widoczne. Orzeźwiająco wpływa wiatr na wszystkie twory, oczyszczająco przenika powietrze i wodę i wszystkie żywioły, budząc nowe życie, podmuchem wiosennym unosi się nad ziemią. A choć jest tajemnicą, nie jest jednak rzadkością, którąby można dostrzec od czasu do czasu, tu lub tam. Niema przecież prawie dnia zupełnie bez wiatru, który silniej lub słabiej wieje.

Tak też jest z Duchem. Wieje, gdzie chce, a chce wszędy powiew swój dać odczuć. Nie tylko w Słowie Chrystusowem, lecz i w tysiącznych zdarzeniach naszego codziennego życia, na każdym kroku owiewa nas i wszelkiemi sposobami stara się przeniknąć do serc. Działalność jego polega na łasce, ale ta łaska jest dla wszystkich, którzy serc swoich nie zamykają. Zmusić go nie można, lecz można go uprosić, a Jezus zaświadcza częstokroć, że szczery nadaremno prosić nie będzie. Pozna moc jego ze skutków z owoców. Więc nie nam nie szkodzi, że istoty jego nie pojmujemy i wyjaśnić nie możemy.

Dałby Bóg, aby śród czytelników tych słów znalazło się wielu, którzyby szczerze zaświadczyć mogli: Od czasu, jak zbliżyłem się do Chrystusa Pana, który Ducha Swego posyła w serca ludzkie, zupełnie inaczej się czuję. Nie mogę wprawdzie twierdzić, że jestem odrodzony, lecz stanowisko moje względem grzechu uległo wielkiej zmianie. Grzech stał się dla mnie obcym, oddalonym. Niejedno, com dawniej bez skrupułów czynił, budzi we mnie żal. Niejedna walka, w której poprzednio ulegałem, kończy się dziś zwycięstwem. Lękam się wprawdzie jeszcze cierpienia i bólu, ale jakoś łatwiej mi jest z pokorą przyjąć i to, co boli, z ręki Boga. Wzmaga się we mnie dążenie do tego, aby bliźniemu służyć w miłości.

Kto tak wyznać może, ten stanął już na drodze, prowadzącej do odrodzenia. Twierdza grzechu została podminowana i runąć musi. Fundament wspaniałej świątyni, został w nim położony. Kto wiernie i z dziecięcą ufnością trwa przy swoim Zbawicielu, ten będzie z radością spoglądał, jak ta świątynia wykończona będzie.

Leżałem w więzach srogich, a Ty skruszyłeś je,
W sromocie, hańbach mnogich, a Tyś wywyższył mnie,

Tyś wyniósł mnie bez miary
I wzbogaciłeś tak
Niespożytemi dary,
Że słów dziękczynnych brak.

Sprawa sądowa

Ks. pastora F. Gloeha przeciwko organowi hakatystów łódzkich — tygodnikowi „Volksfreund", za zniewagę w druku.

Redaktor „Volksfreundu" skazany przez Sąd Okręgowy w Łodzi na 3 miesiące kozy, 900 złotych kary i 100 złotych opłat sądowych.

II.

Po przemówieniu ks. Gloeha, zadaje mu pierwszy pytania pan adwokat Rafał Kempner.

— Czy był wysyłany memorjał pewnej grupy Niemców łódzkich do Kanclerza Rzeszy za okupacji?

— Był — krótko odpowiada ks. Gloeh.

— A czy ks. pastor go zna?

— Znam.

— A czy go posiada?

— Skoro był wysłany do kanclerza Rzeszy, to ja go posiadać nie mogę.

— A może ks. pastor posiada odpis?

— Posiadam.

— A przy sobie?

— Tak, mam odpis przy sobie.

— A może go ks. pastor pokazać?

Ks. Gloeh wyjmuje odpis memorjału i pokazuje go p. adwokatowi Kempnerowi. Pan Kempner wyciąga po niego rękę, ale ks. Gloeh chowa memorjał do teczki.

— A może ks. pastor — pyta trochę zmieszany pan adw. Kempner — złoży ten memorjał do aktów sądowych.

— Nie, nie złożę.

— A dlaczego?

— Bo to do sprawy niniejszej nie należy.

— Ale jednakowoż dobrze byłoby, gdyby ks. pastor ten memorjał sądowi złożył.

— Panie adwokacie — przerywa przewodniczący Sądu — skoro ks. Gloeh uważa, że nie należy to do sprawy, to niema co o tem mówić.

— A czy ks. pastor — znowu pyta p. adw. Kempner — czytał artykuły pana posła Utty przeciwko ks. Sup. Generalnemu Burschemu w sprawie plebiscytu, lub innych jego wystąpień?

— Gdybym nie czytał, tobym o nich nie wspominał.

— A gdzie one były umieszczane?

— W „Lodzer freie Presse" i „Volksfreund".

— A czy ks. pastor posiada numery pism z temi artykułami?

— Posiadam.

— Może ks. pastor je pokazać?

Ks. Gloeh wyjmuje z teczki parę egzemplarzy „Volksfreund'u" i pokazuje je panu adw. Kempnerowi, ale gdy ten chce je wziąć do ręki, ks. Gloeh chowa je do teczki.

— To do sprawy nie należy. Będzie druga sprawa, w której pan poseł Utta skarży mnie za obrazę w druku, na tej sprawie wyłuszczę wszystko i poprę dokumentami temi. Teraz nie. — Dodaje ks. Gloeh.

Po zeznaniach ks. Gloeha, głos zabrał pan adwokat Edmund Biejat, rzecznik oskarżyciela. W krótkich, treściwych słowach opisał przebieg sprawy, i domagał się ukarania winnego redaktora odpowiedzialnego, Roberta Schwartza, za zniesławienie i zniewagę w druku ks. Gloeha.

Wezwano świadków. Pierwszy zeznawał pan Józef Spickerman, senator. Dla ułatwienia — ponieważ pan Spickerman z trudem mówi po polsku — obrońca „Volksfreund'u" — pan adwokat Rafał Kempner, stawia świadkowi pytania. Pytania te jednak nie mają wiele związku ze sprawą i zamiast ją wyjaśniać, gmatwają ją tylko. A więc p. adw. Kempner pyta naprzykład:

— Czy pan senator podpisywał memorjał w sprawie przyłączenia Łodzi do Berlina podczas okupacji?

Naturalnie pan Spickermann odpowiada przecząco. Ale oto następują pytania pikantne i jeszcze pikantniejsze odpowiedzi pana senatora Spickermana:

— Do jakiego ugrupowania politycznego pan senator należy?

— Do żadnego — odpowiada pan senator trochę zażenowany. — Ja nie reprezentuję żadnego kierunku politycznego.

— A czy pana senatora wszyscy Niemcy wybierali do Senatu—pyta uprzejmie pan adwokat Rafał Kempner.

— O, tak, — tryumfująco odpowiada senator — wszyscy.

Znowu pan Rafał Kempner:

— A czy pan senator występował kiedy w prasie, lub na zebraniach publicznych przeciwko ks. biskupowi Burschemu i jego działalności?

Znowu mina niewyraźna u p. senatora:

— Nie, nie występowałem. Tak, — dodaje po namyśle — prywatnie tłómaczyłem Superintendentowi Generalnemu, żeby się polityką nie zajmował, ale tylko sprawami kościelnemi...

(Pan „senator" słabo mówiący po polsku, a jeszcze słabiej czytający i piszący—„tłómaczył" ks. Superintendentowi Generalnemu, czy może się zajmować polityką i jaką!...).

Adwokat Rafał Kempner, obrońca „Volksfreund'u":

— A czy pan senator zna sprawę pastora Loefflera?

— Nie, nie znam, — odpowiada kategorycznie pan senator Spickerman.

— Dziękuję panu senatorowi uprzejmie — słodkim tonem w głosie kończy pan adwokat Rafał Kempner.

Po tej sielankowej rozmowie, zaczęła się indagacja pana adwokata Biejata, do której kilka pytań dorzucił i ks. Gloeh:

— Pan senator mówił, że nie należy do żadnego ugrupowania politycznego i że go wybierali do Senatu wszyscy Niemcy. A czy wśród Niemców niema partyj różnych?

— O tak, są, — odpowiada świadek.

— A ile?

— Dwie, a nawet trzy.

— A jakie?

— A no, socjaliści i inne.

— A jakie inne?

— A no, „Volkspartei".

— A więc „Deutsche Volkspartei". Tak?

— Tak, — odpowiada pan Spickerman.

— A pana senatora, jak mówił, wybierali wszyscy, czy też i socjaliści niemieccy?

— No nie, ja przeszedłem do Senatu z listy „Deutsche Volkspartei" — cichym już głosem dorzuca pan senator.

— No, ale pan senator zaznaczał, że nie reprezentuje żadnego kierunku politycznego i nie należy do partji. Więc jak to?

— A tak, ja do partji nie należę, ale wolno było partji postawić moją kandydaturę — odpowiada filuternie pan senator, co się wydaje wszystkim bardzo dziwnem.

Dalej pyta oskarżyciel, ks. Gloeh:

— Pan senator zeznawał, że sprawy ks. pastora Loefflera nie zna wcale. A nie przypomina sobie pan, że przemawiał w sprawie ks. Loefflera w parafji konińskiej, dokąd w tym celu specjalnie jeździł?

— Tak — odpowiada przyparty do muru pan senator — jeździłem i przemawiałem na zebraniu, ale — dodaje odważnie — to nie było w Koninie, ale w Maślakach.

— A o czem pan senator tam mówił?

— Broniłem ks. Loefflera, którego konsystorz niesprawiedliwie usunął z Konina.

— A więc — stwierdza ks. Gloeh — pan senator sprawy ks. Loefflera nie zna, a przemawiał w tej sprawie w jego obronie...

W tem miejscu Sąd przerywa posiedzenie i udaje się na naradę. Wobec sprzeczności w zeznaniach pana

senatora Spickermana, powstają u niektórych pewne domysły. Po półgodzinnej przerwie Sąd znowu wychodzi. Pan adwokat Rafał Kempner prosi Sąd o dodatkowe przesłuchanie pana senatora. Sąd się zgadza.

Pan Spickerman wywodzi, że artykuł ks. Gloeha „My i Wy" wywołał zgorszenie u pewnej grupy pastorów, tak, że na Synodzie, który potem zwołany został, ci pastorzy z tego powodu udziału nie brali, a Synod potępił ks. Gloeha za to.

Na to stawia pytanie ks. Gloeh:

— A skąd pan senator o tem wie, przecież w Synodzie udziału nie brał?

— A dowiedziałem się od pastorów.

— A jakich?

— Od pastora Dobersteina i Schedlera.

Więc pan Spickerman tylko słyszał, i w dodatku źle słyszał, gdyż Synod ks. Glocha nie potępił. Orzekł tylko, że za artykuł swój jest ks. Gloeh odpowiedzialny osobiście, i wyraził w nim swoje zdanie, a nie zdanie całego Synodu. A o tem ks. Gloeh, pisząc swój artykuł, wcale nawet nie myślał, żeby wypowiadać się w imieniu Synodu. Więc dodatkowe zeznanie pana Spickermana niepotrzebnie zajęło Sądowi czas.

Zeznaje potem as łódzkiej hakaty—pan poseł August Utta, nauczyciel ludowy i kantor, a więc jeden z najwykształceńszych i najuczeńszych ludzi tej grupy. Pan poseł podchodzi śmiało, jak zwykle pokazuje ząbki, a na twarzy ma nieszczery, obłudny uśmieszek. Mówi po polsku poprawnie, jako, że podobno wywodzi swój ród z Polaków na Śląsku Średnim koło Wielunia, którzy się w Polsce zniemczyli.

Znowu pytania obrońcy „Volksfreund'u", pana Rafała Kempnera:

— Skąd pan poseł został wybrany do Sejmu?

— Z całego powiatu łódzkiego.

— A kto pana posła wybierał, czy wszyscy Niemcy?

Pan Utta odpowiada na to ochoczo:

— Tak, wszyscy Niemcy.

— A czy i Polacy ewangelicy pana posła wybierali także — pyta się pan adwokat Rafał Kempner, udając, że się nie zna na polityce. A pan poseł Utta, mniemając, że mówi do czytelików swego „Volksfreund'u" — bez zająknienia odpowiada:

— O tak, mam wrażenie, że mnie wybierali też Polacy-ewangelicy.

— A czy pan poseł podczas okupacji był w Łodzi— pyta pan Kempner.

— Nie, byłem w Rosji i wróciłem dopiero, gdy okupanci wyszli z Polski.

Na to pan Kempner, przecież adwokat, stojący przed poważnym Sądem, stawia pytanie:

— A czy pan poseł podpisywał memorjał, który rzekomo za okupacji był wysłany do Kanclerza Rzeszy do Berlina o przyłączenie Łodzi do Niemiec?

— No naturalnie panie adwokacie Kempner, nie! — odpowiadamy na tem miejscu sami. Jakżeż mógł pan Utta, będący za okupacji poza granicami Polski, w Rosji, podpisać memorjał w tymże czasie w Łodzi!? Gdzież tu logika?

Pan Kempner albo tego nie czuje, albo robi to z pewną intencją, więc niezrażony stawia pytania dalej:

— A czy pisma: „Lodzer freie Presse" i „Volksfreund" otrzymuje subsydja z Niemiec?

— Stanowczo nie — odpowiada świadek.

— A czy pan poseł wie co o Synodzie, na którym była mowa o artykule ks. Glocha?

— Tak. Ks. Glocha wszyscy pastorzy potępili za to i pewna grupa nie chciała w tym Synodzie uczestniczyć.

— Jaka to grupa, ta „pewna"?

— No, — wylicza pan poseł Utta — pastor Doberstein, Schedler, Otto, Dietrich, Ulbrych...

— A skąd o tem pan poseł wie, przecież na Synodzie nie był? — pyta ks. Gloeh.

— Mówił mi pastor Doberstein i Schedler, — ale w tem miejscu orjentuje się w mig, i dodaje jeszcze—no i pastor Ulbrych i pastor Otto z Łodzi.

Na to adwokat Biejat:

— Pan poseł zeznał, że go wybrali Polacy-ewangelicy, a od jakiej partji, z jakiej listy pan poseł przeszedł do Sejmu?

Tu pan poseł Utta się mocno zawahał, ale cóż robić, jeżeli nie powie sam, to powie kto inny za niego, powie

---

MARJA INGEBORG SICK.

Panna Elza.

MATKA.

Matka była najbardziej promieniującem wcieleniem wesela, tak, że nie można sobie było lepszego wyobrazić. Dzieliła ona i rozumiała całą miłość dziecka do tej, stanowiącej przeciwieństwo do cmentarza — wesołej strony życia, chociaż o tem nie mówiła z nikim, ponieważ rozmowa nigdy na ten, zawierający w sobie coś tajemniczego — temat, nie schodziła.

Gdy Matka znajdowała się w ogrodzie, chodziła tam i zpowrotem po alei leszczynowej i cicho śpiewała, lub siedziała z robótką na wzgórzu i patrzyła w świat daleki.

Coprawda nie długo, i nie tak bez ruchu, jak to się nieraz samemu tam siedziało, gdyż Matka była daleko żywszej natury. Ojciec twierdził, że zupełnie cicho siedzi ona właściwie tylko wtedy, gdy słucha muzyki, albo gdy on ma dobre kazanie. „O tak", odpowiadała Matka z uśmiechem, „ale i wówczas to dopiero mam ochotę przez cały czas coś do ciebie powiedzieć".

Gdy tak przez krótką chwilę posiedziała na wzgórzu, szyjąc jednocześnie — białe jej palce były stale tak chybkie, że zawsze potrafiła dużo zrobić — wówczas wstawała nagle i mówiła:

— Chodź, Elzo, Elżuniu, pójdziemy szukać przygód i ludzi po lesie.

Matka nazywała się Elżbietą, a ja nazywałam się Elzą, co wyglądało, jakbym była jej małą cząstką.

Od czasu do czasu próbował ojciec mówić do niej „Matka", ale ona zabraniała mu, i śmiejąc się, mówiła:

— Myślałam, że jestem twą najukochańszą; czyż zostałam teraz twą matką? Chociażbyś mnie wieszał do góry nogami, nie zmusiłbyś mnie nigdy, abym nazywała cię nielogicznie „ojcem".

Matka kochała przyrodę; tak, ona kochała, kochała kochała przyrodę; trzy razy trzeba ten wyraz powtórzyć, aby to jej uczucie należycie odtworzyć. Ale trzykroć po trzy razy trzebaby było do tego dodać, a i wtedy jeszcze niewiadomo, czyby wystarczyło na wypowiedzenie tego, jak bardzo Matka kocha swą Elżunię. „Wówczas ojciec musi się jednym razem zadowolnić, gdyż wyżej nie potrafimy liczyć". Ale on twierdził, że woli ten jeden raz, niż tamte.

Wspaniałe były te wyprawy z Matką na przygody. Ona odkrywała tyle rzeczy, których inni wcale nie widzieli. Przedewszystkiem kwiaty. Wszędzie kwitły one na jej drodze, tak, że mogła mówić do ojca:

— Zadaj mi, abym znalazła ci jakikolwiek kwiatek, który ty posiadasz w swoim zielniku, a ja ci go zaraz przyniosę świeży i żywy, jeśli on wogóle rośnie w królestwie duńskiem lub w sąsiednich krajach.

I rzeczywiście tak być mogło.

Ale jeszcze piękniejszem było wyszukiwanie zwierząt i ptaków.

— Tu w tych małych kryjówkach jest wiele tajemniczego życia,—mówiła Matka, skoro się wchodziło do lasu.—A my nie spoczniemy, dopóki go nie wyszukamy.

może wyraźniej, dobitniej, więc woli już sam to zrobić i odpowiada:

— Z listy Nr. 18.

— A jaka to była lista?

— Mniejszości narodowych.

A więc według mniemania pana posła Utty, Polacy-ewangelicy w Łodzi, głosowali do Sejmu na listę mniejszości narodowych. Trudno o większą bezczelność i mijanie się z prawdą, zakrawające na oczernianie polskich ewangelików przed Sądem. Ale wszyscy zrozumieli to dobrze. Pan Utta sam swoim zeznaniem nadał specyficzny charakter. No, ale tonący brzytwy się chwyta.

— A czy pan poseł występował kiedy przeciwko ewang. fakultetowi teologicznemu przy warszawskim uniwersytecie?

— Nie występowałem.

— Nigdy, ani w pismach, ani na zebraniach?

— Tak, — cofa się pan Utta, — występowałem, ale dlatego, że to jest fakultet nie zupełnie luterski.

I znowu curiosum: tam pan Spickerman, stolarz i podobno były restaurator — obecnie ślepym trafem losu i dzięki ciemnocie kolonistów — senator — poucza ks. Superintendenta Generalnego, co ma robić w Konsystorzu, tu znowu — nauczyciel ludowy i kantor i w takiż sposób wybrany poseł na Sejm — mądrzy się o fakultecie teologicznym.

— A czy pan poseł nie agitował przeciwko wychowankom tego fakultetu, obecnie już pastorom?

— Nie, — odpowiada pan poseł na Sejm.

— A nie przypomina sobie pan poseł, czy nie wydawał proklamacji do ewangelików w Nowym Dworze przeciwko fakultetowi temu? — pomaga pamięci pana Utty pan adwokat Biejat.

— Nie, nie pamiętam, — uporczywie zeznaje pan poseł.

— No, to ja panu przypomnę, powiada pan adwokat Biejat, i podaje Sądowi Nr. 50 „Głosu Ewangelickiego" z roku 1925, w którym znajduje się fotografja proklamacji pana Utty do parafji nowodworskiej przeciwko ks. Wolframowi, wychowankowi fakultetu warszawskiego uniwersytetu.

Ogólna konsternacja. Pan poseł nareszcie się rumieni. A ma czego. Sąd bierze numer „Głosu Ew." i czyta, oddając sobie z ręki do ręki. Pan adwokat Rafał Kempner, obrońca „Volksfreund'u" prosi o minutę przerwy, aby też mógł przeczytać. To samo czyni pan Utta. Czyta głośno całą proklamację, aż do ostatniego zdania i woła:

— A więc tak, występowałem za ks. Sikorą, ponieważ jest religijnym, a przeciwko ks. Wolframowi, który kończył fakultet ani luterski, ani ewangelicki.

Pan Utta chce na tem czytanie skończyć, ale adwokat Biejat mu nie pozwala i mówi:

— Niech pan poseł doczyta do końca rozpoczęte zdanie.

Panu posłowi jakoś to z trudem przychodzi, więc adwokat Biejat czyta sam jeszcze raz proklamację p. Utty i kończy:

„Pastor Wolfram natomiast jest wychowankiem Wydziału Teologicznego, który według wywodów profesora Bursche'go w jednej broszurze nie jest ani luterski, ani ewangelicki i **należy do kliki warszawskiej, która** nienawidzi i prześladuje wszystko, co niemieckie".

Nastąpiły potem pytania, dotyczące udziału pana Utty w Towarzystwie „Libertas" Jak pan senator Spickermann, tak też i pan poseł Utta z trudem o tem zeznawali. Dopomogło im w tem zaświadczenie władzy administracyjnej, stwierdzające, że panowie Utta, Spickermann, Stüldt i inni — są udziałowcami tego towarzystwa, które wydaje „Lodzer freie Presse" i „Volksfreund".

Zeznawał jeszcze pan Stüldt, fabrykant, właściciel t. zw. „wykończalni" i były senator. Pan Stüldt nic nowego w swoich zeznaniach nie wniósł do sprawy. Jest właścicielem „Volksfreund'u" — poza tem jest osobą obecnie tylko tyle mającą znaczenia, o ile wspomaga finansowo akcję pana Utty.

Po zeznaniach świadków — przemawiał w obronie „Volksreund'u" i jego rzekomo pokrzywdzonych współwłaścicieli, a przedewszystkiem — pana Utty — pan adwokat Rafał Kempner.

Trudne i niewdzięczne było jego zadanie. Nie pomogła jednak ani jego elokwencja, ani kazuistyczne dowo-

---

Jednego dnia był jeż, który wylegiwał się na słońcu ze swemi trzema młodemi, które były dumne z tego, że mogły zwijać się w kłębek. Innym razem był lis, który stał na małych, czarnych łapkach na słonecznej polanie między ciemnemi jodłami i powoli machał puszystym ogonem, tak, że czuło się, jakby to łechtało pod noskiem, gdyby się do niego przybliżyć.

Innym razem była to mała, zręczna myszka polna, która wysunęła się z okrągłej nory u stóp wysokiego buku, aby równie przezornie i mądrze, jak mała, okrągława ogspodyni, gromadzić zapasy zimowe. Biegała i skakała między zżółkłemi liśćmi i wracała z żołędziem, lub orzeszkiem, z którym znikała w swej norze. Po upływie paru sekund widać było koniuszczek pyszczka w otworze — rozglądała się, czy panuje spokój, i czy nie zbliża się jakie niebezpieczeństwo. Za siódmym, czy ósmym razem wróciła z dużym grubym żołędziem, siadła tak, że plecy znajdowały się tuż koło nory, i zaczęła obierać łup małemi gwałtownemi ruchami, a potem spożywać z pewną siebie miną, która wyrażała, że wart robotnik swojej zapłaty. Potem siedziała jeszcze chwilę, by nieco wysapać się po uczcie, w międzyczasie zaś jej czarne oczki błyszczały z zadowolenia z powodu zaspokojenia głodu.

Wtedy Matka się roześmiała:

— Ona przypomina teraz boa constrictor, który połknął wołu.

W tejże chwili myszka znikła.

Kiedyindziej znowu podeszłyśmy blisko na brzeg strumyka do trzcin, aby narwać białych irysów, gdy wtem Matka stanęła i podniosła palec do góry. Wtedy trzeba było stać zupełnie cicho i wstrzymać oddech. Tak też zrobiłyśmy — i oto, tam płynęła dzika brunatna kaczka z siedmioma ładnemi, pokrytemi żółtym puchem kaczętami.

Ale nagle poślizgnęła się nóżka i trzciny zaszeleściły. Matka-kaczka zerwała się i krzyknęła: „Rab, rab", aby zwrócić uwagę na siebie, a odwrócić od swych kacząt, które, jak strzały, pomknęły po wodzie do swej matki.

— — — — — — — — —

Daleko mniej pociągające było „wyszukiwanie ludzi", gdy się miało ze świeżego, głębokiego, tajemniczego lasu pójść do małych, dusznych, biednych chatek.

Ojciec miał słuszność, gdy mówił, że wszystka możliwa nędza wyrasta, jak kwiaty, na Matki drodze.

Inni pastorzy, którzy odwiedzali ojca, nie widzieli nigdy takiej biedy w swoich parafjach; oni umieli ograniczyć się do swego duszpasterstwa i nie potrzebowali sobie robić tyle kłopotu z opieką nad biednymi.

Ale ojciec otrzymywał łokciowe listy od tych, którym trzeba było pomóc. Jeden był chory, drugi stary i ułomny, inny znowu sparaliżowany leżał na glinianej podłodze i jemu trzeba było sprawić dywanik, lub podłogę drewnianą. Jeśli zaś nic było nic nadzwyczajnego, to można było mieć pewność, że parę osób oczekiwało „drobnostek". Zauważono nawet, że te konieczności powtarzały się często. A jeśli ojciec wskazywał na innych pastorów, to Matka zżymała się i mówiła, że należałoby im raz broń skontrolować. Jeśli bowiem nie wiedzą, że u nich są serce rozdzierające wypadki nędzy,

dzenia niewinności swych klijentów — ani zdolność adwokacka. Podczas jego długiej, a bardzo nużącej mowy obrończej, w której często powtarzał te same fakty i te same argumenty, zdawało się, że sam nie wierzy w to, co mówi, że broni bez przekonania zgóry skazanej na przegranie sprawy. Bo któż z ludzi krytycznie myślących i znających choć odrobinę stosunki w Łodzi, mógł uwierzyć, gdy pan adwokat Rafał Kempner czyścił z zarzutów posłów i senatorów z listy mniejszości narodowych, przedstawiał ich jako „znanych i zasłużonych działaczy, wybranych przez całe społeczeństwo". Widać z tego tylko, że pan adwokat Kempner miał w ciągu całej swej praktyki wyłącznie solidną klijentelę i wprawił się w obronę takowej. To też panowie Utta i Spickerman, — słuchając swego obrońcy — zapewne własnym uszom nie wierzyli, i nic dziwnego, że po skończonym przewodzie sądowym, nie czekając na wyrok — pośpieszyli mu podziękować za tak nieoczekiwane komplimenty.

Po mowie obrońcy „Volksfreundu" przemawiał pan adwokat Biejat. Rzeczowo, poważnie i spokojnie dowodził winy redakcji „Volksfreundu". Żądał wyroku skazującego, nie dlatego, żeby ukarać pana Roberta Schwartza, który jest tylko „Sitzredaktor", a pracuje jako kowal, czy ślusarz w fabryce, ale żeby napiętnowane zostało postępowanie moralnych sprawców tego przestępstwa, którzy zasiadają tutaj nie na ławie oskarżonych, ale w roli niewinnych świadków. Jeżeliby nawet ks. Gloch pisał źle i był winien, to i wtedy nie wolno lżyć w prasie przeciwnika, tembardziej, że ks. Gloch wszystko udowodnił i nie użył w swym artykule ani jednego pod adresem swoich przeciwników obelżywego słowa. Panowie z przeciwnej strony, którzy występują w roli świadków, a są moralnymi sprawcami tego artykułu, a może i faktycznymi — nie mając argumentów, użyli słów ordynarnych, jakich nie spotyka się w prasie polskiej bezkarnie. Jeżeli prasie polskiej bezkarnie takie występki nie uchodzą, dlaczego prasa hakatystyczna w Polsce ma być pod tym względem uprzywilejowana. Adw. Biejat z tego powodu rozszerza oskarżenie i żąda ukarania nominalnego redaktora „Volksfreund'u" za obrazę i zniewagę w druku.

Adwokat strony oskarżonej poprosił o parę minut repliki, która się przeciągnęła dość długo. Nic wniosła ona do sprawy nic nowego, za to wszystkich do reszty zmęczyła. Przedstawiał pan adw. Kempner pp. Utta i Spickermana, jako wielkich działaczy społecznych i politycznych — i często w dowcipny, ale nie poważny sposób atakował — coprawda bardzo oględnie ks. Glocha.

Wreszcie Sąd zakończył przewód i udał się na naradę. Panowie Utta, Spickermann podchodzą do swego obrońcy, p. adw. R. Kempnera i ściskają mu dłonie, ostentacyjnie dziękując za świetną mowę i obronę.

Po półgodzinnej przerwie Sąd wychodzi i ogłasza wyrok.

Roberta Schwartza, redaktora odpowiedzialnego „Volksfreund'u" za zniesławienie i zniewagę w druku ks. pastora Feliksa Glocha, Sąd postanowił skazać na:

1.000 zł. grzywny lub 3 miesiące aresztu, (900 złotych kary i 100 zł. opłat sądowych).

Wśród posłów i senatorów łódzkich, występujących w roli świadków, widać na twarzach dużą konsternację. Zaś pan obrońca, adwokat Rafał Kempner, któremu naprzód pp. Utta i Spickermann podziękowali za obronę, w porę, nie czekając na ogłoszenie wyroku, salę sądową opuścił.

Ks. FELIKS GLOCH.

Z Podróży do Jugosławji

Po śniadaniu — udajemy się na przystań. Przystań minjaturowa. Wchodzi czworobokiem w miasto, które odwróciło się od niej okalającym go murem, pochodzącym z zamierzchłych czasów, będącym resztkami jakiegoś klasztoru. U góry na nim postać Św. Błażeja, dla którego dubrowiczanie czują specjalny kult i nabożeństwo. Jak nam objaśnia p. L. Rogowski, autor misterjum „Cud św. Błażeja", oraz baletu „Kupały" i bia-

---

to świadczy to tylko o tem, że nie odwiedzają swej parafji.

Niezapomnianym był trjumf Matki, gdy odkryła w szczerem polu w kompletnie walącej się chacie staruszkę Hansen Boel Soren i wyliczała ojcu na palcach:

— Osiemdziesiąt lat, Jakóbie, głucha, jak pień, na jedno oko niewidoma, obierają się trzy palce u prawej ręki. Muszę jednak pochwalić Annę Jens Daniela, która zagląda do niej raz na tydzień i rąbie jej nieco drew. Sparaliżowana na obie nogi, dzbanek do kawy bezdzióbka, i myszy, które wszędzie biegają.

To ostatnie było w oczach Matki najgorsze, szczyt nędzy, to też wyliczyła je z nadzwyczajnym naciskiem.

Ojciec był tak pokonany, że mu wcale nie przyszła na myśl oponować przeciwko Matki zakończeniu tego wyliczenia.

— I rzecz naturalna, w każdej wsi istnieje taka Boel Sören Hansen, ale inni pastorzy pozostawiają je w świętym spokoju.

Dobrze się stało, że Boel Soren Hansen wkrótce umarła i została pochowana, chociaż przeciwko takiemu zakończeniu dałoby się wiele powiedzieć — żadna bowiem siła nie mogła Matkę powstrzymać od odwiedzania jej co drugi dzień, a najchętniej codziennie, aby jej przewiązać palce, ugotować kawę w nowym garnuszku — chociaż sprawiało to Matce wielką przykrość, gdyż bała się śmiertelnie myszy w pokoju.

Ale gdy Boel umarła, na jej miejsce przybyły natychmiast znowu inne.

— Pani pastorowa stale zadaje się z takim chorym tłumem żebraków — mówiła Dorota.

Nieraz Matka tak się śpieszyła, że nie miała nawet czasu udać się przedtem do lasu, jak również i potem. Jeden musiał dostać parę ciepłych mankietek na stare, skostniałe z zimna ręce, drugi rosołu w butelce lub soku malinowego, inny znowu świeże jajka, tamten gazety lub książkę, a ów znowu kwiaty z ogrodu.

— Inni bowiem nie zwracają na nich wcale uwagi — mówiła z uśmiechem Matka.

A gdy wkońcu wydało się ostatnią paczkę i z małą uwagą, że już nie można do nikogo iść, gdyż nie ma się już nic do zaniesienia, to jednak trzeba było jeszcze pójść do starej Stiny lub Pera Olsen, gdzie tak kwaśno pachniało, a pozatem jeszcze do wielu innych osób.

— Wam przynosimy radosne oblicze, to jest najlepsze, z czem można przybyć, i to ma się zawsze w zapasie.

Żeby chociaż miało się do czynienia tylko z tymi, których się odwiedzało, ale kto już szedł tą drogą, musiał być jeszcze zagabnięty. Matka mówiła, że można oczywiście iść swą własną drogą, ale trzeba się przyzwyczajać iść z innymi, którzy utykając, kulejąc, bosozdążają swoją koleją.

— Wszystkim im trzeba, abyśmy choć kawałek drogi z nimi razem poszli.

Oczywiście trzeba było wtedy pytać, jak się czuje chora, sparaliżowana Ola Kristensen, i jak się ma świnia Anny Andersen, która się uchwaciła, że zdawało się, że już nic jej nie pomoże.

(C. d. n.).

łoruskiego hymnu, kult ten wywodzi się z czasów pogańskich, z kultu Bachusa, bożka winobrania. Rozglądamy się dokoła. A jest na co patrzeć i co podziwiać! i słusznie Dubrownik, czyli Raguzę nazywają perłą Adrjatyku. Trzy łodzie stoją w pogotowiu. Do dwu wsiada młodzież, do trzeciej — starsi. A za niemi płynie, uwiązana do naszej łodzi, — czwarta z bagażami. Na piramidzie waliz i kufrów stoi duży „samowar“ — na nim usiadł sobie chłopiec — pomocnik przewoźnika, nie domyślając się, do czego to, na czem usiadł, nam służy. W ten sposób udajemy się „drogą morską“ — około 20 minut jazdy — na słynną, jak z cudownej bajki wyjętą, uroczą, pełną podzwrotnikowych krzewów i roślin, wyspę cesarską Lokrum. Wyspa — stworzona chyba specjalnie dla marzeń i romansów. Z jej brzegów dokoła — wznoszą się górzyste brzegi lądu, z drugiej strony bezbrzeżna przestrzeń szafirowych wód — które — hen, gdzieś, w oddali, łączą się z jasnym błękitem sklepienia niebios. Wyspę otoczono zewsząd różnej wielkości skałami podwodnemi — od najmniejszych, do potężnych olbrzymów. Wszystkie wystają swemi ostremi kantami nad powierzchnią, jakby czekając na swe ofiary. Inne — podstępnie ukryły się pod wodą, a — jako niewidoczne — tem są groźniejsze i niebezpieczniejsze. Na brzegu wyspy Lokrum wznosi się majestatyczny krzyż. Na kamiennym dużym piedestale — napis w języku łacińskim, z napisem, że wzniesiony ten pomnik został na pamiątkę tragicznego wypadku, jak przed laty kilkunastu zdarzył się w tem miejscu na morzu. Mianowicie, jeden z austrjackich okrętów, dobijając już prawie do brzegów, rozbił się o skały podwodne i wielu pasażerów znalazło śmierć w falach. Trzeba bowiem dodać, że chociaż wysepka ta znajduje się wbardzo bliskiej odległości od lądu, to jednak podróż do niej pieczniejsze. Na brzegu wyspy Lukrom wznosi się matrów pewne niebezpieczeństwo. A bywają podobno i takie burze, że zagrażają dużym okrętom.

Jesteśmy więc na cudownej wyspie Lokrum. Cała brać szkolna po umyciu się, — zamiast odpoczywać — rozbiegła się po parku i ogrodzie. Dano nam na parterze i pierwszem piętrze pomieszczenia, zajmowane zwykle przez dzieci, które tutaj parafjami przysyłane są na kolonje letnie. Gmach — pałac, czworobok, wewnątrz którego — piękny park. Na drzewach — pomarańcze już dojrzałe. Ale zrywać nie wolno. Duże korytarze — z jednej strony — okna na podwórze i z drugiej — drzwi do oddzielnych pokojów na kilka osób każdy. Jednak dla wszystkich nie starczyło pokojów, przeto łóżka poustawiano na szerokich kurytarzach. Dziewczęta umieszczono na piętrze, chłopców i nas, starszych — na piętrze. No, ale musimy się pośpieszać i przygotowywać do odjazdu. Nie można wychodzić na miasto i wracać do domu, jak się chce i o której porze się komu podoba. Komitet przyjęcia wycieczki na miejscu tak zarządził, że rano łodzie motorowe odwiozą nas na ląd, a wieczorem przywiozą na wyspę. Kto się spóźni — albo zostanie, albo musi jechać na własny koszt. Trzeba przeto być punktualnym. Niedługo zatem mają po nas przyjechać łodzie, któremi mamy się udać do miasta na obiad do restauracji „De Ville“. Obiad smaczny i wystarczający. Po obiedzie na parę godzin każdy w swoją stronę, a wieczorem zbiórka w lokalu Związku gimnastycznego na koncert i na nasze przedstawienie. Początkowo myśleliśmy, że przedstawienia nie będzie, albo się ono odbędzie w jednym z następnych wieczorów, ale przedstawiciele miasta i magistratu, którzy nas przyjmowali na stacji — prosili, aby się to przedstawienie koniecznie odbyło i to dzisiaj wieczorem, gdyż jutro już Wielki Czwartek, a przeto taka zabawa — jest niedopuszczalna. A zatem tegoż dnia, t. j. w środę Wiekiego tygodnia — po obiedzie zwiedzaliśmy trochę miasto, a przedewszystkiem kościoły, a następnie wieczorem—odczyt p. Janowskiego, koncert i przedstawienie „Krakowskie wesele“ — dane przez naszą młodzież.

(d.c.n.).

Z Pruszkowa

W niedzielę dnia 12-go lutego b. r. odbyło się w Pruszkowie, w gmachu zborowym, przy ulicy Topolowej Nr. 12, Ogólne Zebranie parafjan kantoratu pruszkowskiego, zamieszkałych w Pruszkowie, Duchownicach, Ożarowie, Oltarzewie, Opaczy, Czechowicach i Piastowie, pod przewodnictwem księdza M. Rügera. Dokonano wyboru członków Dozoru Kantoratu na nowe trzechlecie. Jednogłośnie wybrani zostali pp.: Henryk-Juljan Foeller, Karol Baranowski, Otton Fitzke, Edward Hau, Edward Paszke i Otton Rau — z Pruszkowa, pp.: Karol Lange i Ryszard Loppe — z Piastowa, p. Karol Leibrandt z Duchnic i p. Karol Desch z Opaczy, poczem przystąpiono do narad nad sprawami kantoratu. Zebrani jednomyślnie uznali za wskazane nabycie przez Kolegjum Kościelne Zboru Ewang.-Augsb. w Warszawie przyległego do posesji zborowej w Pruszkowie placu przestrzeni około 3.800 łokci kw. pod budowę kościoła i postanowili wyrazić Kolegjum Kościelnemu podziękowanie za troskliwość o dobro parafjan pruszkowskich.

Postanowiono jaknajszybciej przystąpić do budowy świątyni i upoważniono Dozór Kantoratu do zbierania składek - ofiar. O zamierzeniach parafjan pruszkowskich Dozór Kantoratu pragnie tą drogą powiadomić najszerszy ogół społeczeństwa i uprzejmie prosi wszystkich przyjaciół tej wzniosłej inicjatywy o łaskawe poparcie. Szanownym ofiarodawcom, którzy już złożyli ofiary na powyższy cel, na tem miejscu składamy serdeczne „Bóg zapłać!“

Składki - ofiary przyjmują na miejscu członkowie D. K., zaopatrzeni w kwitarjusze i upoważnienia i skarbnik p. J. Sauter, ul. Topolowa Nr. 12, oraz Redakcja „Głosu Ewangelickiego“ i „Zwiastuna Ewangelicznego“ i Ewangelicki Bank Spółdzielczy w Warszawie, plac Małachowskiego Nr. 1.

FUNDUSZ NA BUDOWĘ KOŚCIOŁA EWANG.-AUGSB. W PRUSZKOWIE.

Składki miesięczne:

Paszke Edward z Pruszkowa	10.00	
Fole Edward z Pruszkowa	10.00	
Wild Rozalja z Pruszkowa	30.00	
Hau Edward z Pruszkowa	10.00	
Lange Edmund z Piastowa	5.00	
Ruppel Otton z Piastowa	3.00	
Marszał Antoni z Piastowa	10.00	

Składki jednorazowe:

Skowrońska Ida z Soczewki	2.00	
Strumpf Marja z Warszawy	3.00	
Fitzke Emilja z Gostynina	10.00	
Hichman Oskar z Gostynina	3.00	
Hichman Aleksander z Gostynina	2.00	
Bem Gustaw z Gostynina	10.00	
Dengel Jan z Gostynina	10.00	
Fitzke Zygmunt z Gostynina	3.00	43.00
Razem:		141.00

Słownie: sto czterdzieści jeden złotych wniesiono do Ewang. Banku w Warszawie.

Pruszków, dn. 18.IX.1928 r.

J. SAUTER
Skarbnik Z. K.

PROSIMY REGULOWAĆ ZALEGŁOŚCI PRENUMERATY ZA BIEŻĄCY KWARTAŁ.

Z życia Młodzieży

Staraniem Związku Polskiego Towarzystw i Zborów ewang. odbędzie się w dn. 1 — 2 listopada b. r. w Warszawie Ogólnopolski Zjazd młodzieży ewangelickiej. Program obejmować będzie referaty n. t. pracy religijnej (ks. prof. Michejda) i społecznej (sekr. E. Szubert) towarzystw młodzieży, nadto zebranie sekcji akademickiej i kierowników kół młodzieży szkół średnich.

Z powyższym Zjazdem połączony będzie Zjazd chórów polskich towarzystw młodzieży ewangelickiej.

Zgłoszenia na Zjazd przyjmuje biuro Związku (Warszawa, pl. Małachowskiego 1) do 15 października b. r.

Sekcja Krajoznawcza T. P. M. E. łącznie z wydziałem zebrań towarzyskich urządza w niedzielę 23 września r. b. wycieczkę na pożegnanie lata do Płud. Zbiórka na dworcu Gdańskim o godz. 10 rano. Członków oraz sympatyków sekcji prosimy o liczny udział w wycieczce.

Z Konsystorza

(Okólniki).

Polski Komitet Pomocy Dzieciom zwrócił się do Konsystorza z następującą odezwą:

W dniu 16-ym b. m. rozpoczyna się „Tydzień Dziecka". Wychodząc z założenia, że każda uratowana od zagłady fizycznej czy moralnej jednostka przyczynia się do powiększenia bogactwa duchowego danego Państwa— Polski Komitet Pomocy Dzieciom w czasie „Tygodnia", poświęconego specjalnie sprawom dziecka, zamierza nietylko zaznajomić najszersze warstwy społeczeństwa z warunkami, w jakich żyje i wychowuje się nasza młodzież, ale również spopularyzować najnowsze zdobycze wiedzy o dziecku, sposobach i metodach wychowawczych, wskazać drogi i środki do zwalczania zła istaniejącego i do stworzenia warunków, sprzyjających wydobyciu z dziecka - człowieka ukrytych w niem wartości duchowych

Naczelny Komitet Wykonawczy „Tygodnia Dziecka" uznał za niezbędne, aby pierwszy dzień „Tygodnia" rozpocząć uroczystemi nabożeństwami, które odprawione zostaną w kościołach wszystkich wyznań.

Komunikując o powyższem do wiadomości, Konsystorz uprzedza Przewielebnych i Wielebnych księży Pastorów, że gdzie nie da się odprawić nabożeństwa i zarządzić zbiórki 16.IX, może to być uskutecznione 23.IX, gdyż „Tydzień Dziecka" trwa od 16 do 23.IX.

Ofiary należy przekazać do Konsystorza.

Na skutek raportu Kolegjum Kościelnego z dnia 4 września r. b. za Nr. 182 Konsystorz ogłasza niniejszem urząd pastora parafji ewangelicko-augsburskiej w Rawie Mazowieckiej za wakujący z terminem od dnia 15 października 1928 r.

Pastor parafji Rawskiej pobierać będzie 600 złotych miesięcznie oraz dochody za konfirmację i ofiary przy komunji świętej i przy czynnościach. Mieszkanie pastora składa się z 5 pokojów i kuchni. Korzysta również pastor z ogrodu obszaru około 1 morga.

Kandydaci na powyższy urząd winni się zgłosić do Kolegjum Kościelnego w Rawie Mazowieckiej oraz za pośrednictwem swego Superintendenta do Konsystorza.

Wiadomości z Kościoła i ze świata

NABOŻEŃSTWO AKADEMICKIE. Dnia 1 października, w poniedziałek, odbędzie się w kościele naszym, o godzi. 11 i pół rano, nabożeństwo na rozpoczęcie roku szkolnego w Wyższych Zakładach Naukowych. Odprawi je dziekan fakultetu teologicznego, ks. prof. Edmund Bursche.

DOBRZYŃ. Pod przewodnictwem ks. Superintendenta Schmidta odbyły się dn. 5 sierpnia r. b. wybory do Kolegjum Kościelnego w Dobrzyniu n/Wisłą. Powołani zostali większością głosów pp. Bunkowski Otton z Soczewki, Weimer Ludwik z Głowini, Sonström Edward i Wiese Gustaw z Lenia Wielkiego, Liedke Piotr i Schwendtke Dawid z Krzyżanowa.

SADOLEŚ. Dnia 7 sierpnia r. b. wybrani zostali do Kolegjum Kościelnego filjału w Sadolesiu pp.: Hartman Krystjan i Jabs Fryderyk z Sadolesia, Arndt Gustaw z Sójkówka, Werner Wilhelm, Rüdiger Michał i Beier Fryderyk z Płatkownicy, oraz Radke Robert z Ociętego.

W WĘGROWIE pod przewodnictwem ks. administratora Rügera wybrano w dn. 15 sierpnia r. b. jako starszych zboru pp. Szulca Edwarda z Węgrowa, Hoffmanna Aleksandra z Grądów, Hintza Adama z Gruszczyna. Kobyłko Bronisława z Węgrowa i Tauberta Gustawa z Walerowa.

W PILICY nowy skład Kolegjum wybrany w dn. 1 sierpnia r. b. stanowią pp. Kossmahl Bronisław i Karol Weidknecht z Warki, Neumann Jakób z Kępy Celejowskiej, Hoffmann Jan z Góry Kalwarji, Westrich Lorenz z Gąsek, Hilbrecht Edward z Zakrzewia, Frank Krystjan z Martynowa i Melcer Henryk z Magierowej Woli.

MAŁŻEŃSTWO EWANGELICKIE TO ZAWSZE KONKUBINAT. W wiedeńskiem piśmie katolickiem „Wiener Kirchenblatt" (z dnia 28 kwietnia 1928) znajduje się taka odpowiedź redakcji: „Co dla pani jako „dobrej chrześcijanki" ma być lepsze, czy przejście na protestantyzm czy na starokatolicyzm? Drogie dziecko, to pytanie przygnębia. Gdybyśmy list pani rozplakatowali śród Meksykan, którzy za wiarę oddają życie i mienie, to kręciliby głowami i nie pozwoliliby pani nazywać się „dobrą chrześcijanką". Na pierwszem miejscu stawia pani męża, a dopiero potem przychodzi kolej na wiarę... Małżeństwo za dyspensą albo małżeństwo zawarte przed niekatolickim duchownym jest konkubinatem i będzie nim zawsze". Odpowiedzi tej udzielono jakiejś naiwnej Linie, która myślała, że otrzyma przyzwoitą, po ludzku wystylizowaną odpowiedź. Przypominają się słowa satyry poety czeskiego, Hovlićka: „Nie mieszaj z kościołem kościół, carze najjaśniejszy! Rzymski kościół śród kościołów jest najkościelniejszy!" Tu się nie dyskutuje: z jednej strony jest rozkaz, z drugiej ślepy posłuch i na tem koniec. Przy sposobności zaś znieważanie bliźnich, którzy dlatego nie odpowiadają pięknem za nadobne, że są innego — jakże innego! — ducha.

(EWPOL).

INDYFERENTYZM RELIGIJNY, JEGO PRZYCZYNY I LECZENIE. Wszystkie kościoły świata zwracają zgodnie uwagę na zastraszający fakt, że ludność wielkich miast i wielkich ośrodków przemysłowych całemi masami odwraca się od religji. Daje się to zauważyć zarówno śród ewangelków jak i śród katolików. Dotychczas zadawalano się stwierdzeniem smutnego faktu i wzruszeniem ramion, ale obecnie coraz częściej odzywają się głosy domagające się zbadania tego zjawiska. Musi ono mieć swoją przyczynę i trzeba ją wykryć. Godnym uwagi jest w tej sprawie głos pastora frankfurckiego Alojzego Eckerta, który w specjalnej broszurze poświęconej zagadnieniu indyferentyzmu religijnego po wielkich miastach, podaje szereg uwag i spostrzeżeń, zasługujących na uwagę myślącego człowieka. Między innemi wywodzi Eckert: „Istnieje takie poniżenie społeczne, któremu dla spraw religijnych brak poprostu zmysłu. Dlatego właśnie warstwy gospodarczo i społecznie upośledzone, a mianowicie robotnicy przemysłowi, prawie wszyscy zostali straceni dla kościoła". Po stwierdzeniu tego powszechnie znanego faktu, dodaje Eckert: „Nasze duszpasterstwo jest zbyt

indywidualistyczne, a za mało społeczne. Wykonywa się dużo roboty drobnej, drobiazgowej, poświęconej jednostce, nie robi się nic w wielkim stylu dla klasy robotniczej, jako całości. Działalność misyjna laików i wielkie powodzenie tej działalności w pierwszym wieku chrześcijaństwa daje się wytłumaczyć gotowością do szybkiej i czynnej pomocy, gdzie zachodziła potrzeba. To duszpasterstwo laickie, ofiarne, życzliwe, jest odpowiedzią na pytanie, dlaczego pierwotne chrześcijaństwo tak szybko zdobyło świat".

Kto miał do czynienia z masami robotniczemi, ten wie, że słowo propagandy chrześcijańskiej zostało tam już dawno wyparte przez słowo propagandy antychrześcijańskiej. Masy te mogą być odzyskane dla chrześcijaństwa jedynie czynem. Wiara religijna to pewna postać optymizmu. Człowiek gospodarczo i społecznie upośledzony staje się takim pesymistą, że w sercu jego niema miejsca na żaden optymizm, a więc i religijny.

(EWPOL).

NAIWNOŚĆ EWANGELICKA OTRZYMUJE LEKCJĘ. Wobec faktu, że w ewangelickiej Ameryce Północnej mógł być wysunięty jako kandydat na prezydenta katolik Smith (mający za sobą zwolenników wolności wyszynku alkoholu), niektóre pisma ewangelickie piszą, że prawo i ustawa jest wszystkiem, wyznanie dostojnika i urzędnika sprawą prywatną. Pomijając już fakt, że katolicyzm nie zna takiego romantyzmu wyznaniowego i w krajach katolickich nie dopuściłby na żadne wybitniejsze stanowiska niekatolika, fakty pouczają naiwnych, że katolicki dostojnik nawet w kraju przeważnie ewangelickim jest przedewszystkiem katolikiem. Wirtembergja jest krajem $^2/_3$ ewangelickim, ale przy swojej romantyczno - naiwnej ewangelickiej pryncypialności wybrała sobie na prezydenta republiki katolika, a na 6 ministrów 4 teki oddała katolikom. Rezultat jest taki, że Centrum obsadza swoimi ludźmi wyższe stanowiska, a z okazji stuletniej rocznicy diecezji rottenburskiej prezydent podarował biskupowi tej diecezji 50.000 marek. Po niewczasie przypominają sobie ewangelicy, że jubileusze ewangelickie nie były okazją do robienia im prezentów przez prezydenta. Może ta i tym podobne lekcje otwarzą oczy pryncypialno - romantycznym ewangelikom.

(EWPOL).

PORZĄDEK NABOŻEŃSTW

Dnia 23 września w **XVI niedzielę po Trójcy Św.:**

o godz. 9 rano, nabożeństwo w kaplicy szpitalnej,

Dnia 23.IX o godz. 9 m. 15 nab. szkolne w sali konfirmacyjnej — **ks. Gloeh.**

o godz. $11^1/_2$ rano, nabożeństwo w języku polskim **ks. pastor Loth.**

Dnia 28 września, 9 rano, nabożeństwo komunijne.

Dnia 30 września **Święto Żniw.**

o godz. 9 rano, nabożeństwo w kaplicy szpitalnej,

o godz. 9 rano, nabożeństwo w kaplicy szpitalnej,

o godz. $9^1/_2$ rano, nabożeństwo w języku niemieckim ks. djakon **Rüger.**

o godz. $11^1/_2$ rano, nabożeństwo w języku polskim **ks. prof. Michejda.**

W KOŚCIELE GARNIZONOWYM.

Dnia 23 września nabożeństwo w języku polskim, o godz. 10 rano — **ks. senjor Paszko.**

WIADOMOŚCI STATYSTYCZNE URZĘDU PARAFJALNEGO

za czas od 10 — 16 września r. b.

Ochrzczono: 4 dziewczynki i 2 chłopców.

Ślub zawarli: Ryszard Bebernitz z Marją Kołada; Ludwik Rathmann z Albertyną Schmidt; Adolf Hürse vel Chyze z Aloizą Metzger; Józef Schwartz z Anną Foltz; Wiaczesław Czesław Goldhaar z Olgą Wołkowicką; Karol Wilhelm Fritz Thiede z Martą Luty.

Zmarli: Julja Adelajda Klauzińska, doktór medycyny, l. 70; Emilja Hulda Masłow z d. Senicke, właśc. sklepu, l. 42; Jerzy Alfred Aleksander Puncel, uczeń gimn. M. Reja, l. 14; Edward Ritter, szofer-mechanik, l. 33; Amalja Dietel z d. Kruger, pensjonarka domu starców, l. 61; Krystjan Wacker, emeryt, l. 71; Marja von Panwitz z d. Mitscherlich, l. 64.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Głosu Ewangelickiego" wynosi: kwartalnie 3 złote; miesięcznie 1 złoty. Wpłacać można w administracji — Kancelarja Zboru codziennie od 9 — 3 i 3 — 6, telefon 8-26. Redaktor naczelny Ks. pastor LOTH, Królewska 19, przyjmuje codziennie od 11 — 12 rano telefon 184-15. Adres dla czasopism zamiennych i listów do redakcji: Kredytowa 4 m. 3, tel. 310-15.

Redaktor: Ks. AUGUST LOTH. Wydawca: Ewang. Sp. Wyd. „Logos".

ZAKŁ. DRUK. F. WYSZYŃSKI I S-KA. WARSZAWA, WARECKA 15.